

Przełożyła Anna Obrat

## Na plac

To jest dom, to są piętra. Pada deszcz, kobiety w zielonych fartuchach przyklejone do ściany palą papierosy. Czubki ich chodaków są mokre. Patrzę w górę. Na betonie plamy od deszczu. Co siedem okien loggia. Po drugiej stronie są prawdziwe balkony, wiem.

Drzwi zamykają się same. Zielone drukowane litery proszą, aby nie zamykać ich na siłę. Drodzy mieszkańcy, mechanizm jest hydrauliczny. Jestem mieszkańcem, choć niewiele brakowało. Mówią, żeby uniknąć słońca. Ale teraz nie świeci. Na klatce schodowej grzeją, skrzynki pocztowe są ciepłe. Na ścianie wisi korkowa tablica ogłoszeniowa z kolorowymi pinezkami. Za jedną z matowych szyb znajduje się punkt dorabiania kluczy, za drugą zakład krawiecki. Po zamknięciu się drzwi słychać maszynę do szycia. Szkoda, że szlifierka akurat nie pracuje. Trzeba napisać moje nazwisko na skrzynce pocztowej. Na razie zdartam tylko to pozostałe po moim poprzedniku. Jeśli jego pięciosylabowe, niemieckie nazwisko się zmieściło, to i moje się zmieści. Jednosylabowa część ciała pisana przez *h* – dodatkowa litera to pomysł dziadków. Już od bardzo dawna nikt się z niego nie śmiał. Ostatnio pewien facet z zaopatrzenia, mój brat i kontroler biletów. Nie w takiej kolejności. W pewnym sensie mam szczęście. Znałam człowieka, który nazywał się tak, jak narząd płciowy, w takim wypadku nawet *h* nie pomoże. Mam szczęście, muszę tylko unikać słońca.

Jeszcze w windzie wyciągam i oglądam klucze. Dostałam ich o jeden za dużo, nie ma aż tylu zamków. Po minięciu trzeciego piętra winda wydaje metaliczny, przesywający dźwięk. Bądźmy szczerzy – przestraszyłam się. W dodatku coś nią potrząsnęło. Przycisk awaryjny jest czerwony, ten podpisany „administrator” – żółty. Ale nic się nie dzieje, winda jedzie dalej. W każdym budynku zdarzają się dziwne odgłosy, przyzwyczaję się, tak jak do stukania w poprzednim domu. Na ósmym piętrze jest troje takich samych drzwi i dwa puste stojaki na kwiaty. W jednym z mieszkań szczeka pies. Po mężczyźnie o długim nazwisku zostało kilka suchych liści i poplątanych korzeni przybyszowych. Zbieram śmieci i chowam je w dłoni. Mam już pomysł – mówią, że niedaleko jest targ kwiatowy. To, że muszę unikać słońca, nie oznacza jeszcze końca świata. Wykryli coś akurat, kiedy miałam już dosyć. Odkąd pamiętam, przygotowywałam się na dwie skrajne ewentualności. Cokolwiek się wydarzy, będzie zgodne z moją wolą. Poszukam targu, kiedy przestanie padać. Otwieram drzwi. Już za drugim razem trafiam na klucz, który pasuje do zamka, biorę to za dobry znak. W ustach mam smak skwarków. Mieszkam tutaj od dziś.

Gdy do pokoju przez bordowe zasłony wpada światło słońca, wszystko pływa w powidłach. Lubię, gdy można czegoś używać do dwóch różnych celów. Zastanę zaciemniającą, którą kupiłam, można użyć także jako narzutę na łóżko. Z kubkiem w ręce stoję

w uchylonych drzwiach balkonu, wącham powietrze. To ze względu na niego spodobało mi się to mieszkanie. Kiedy mówię „balkon”, myślę o moim bracie, kiedy mówię „loggia”, nie myślę o nikim. Idzie wiosna. Jeszcze wczesnie, a z dołu już słychać śmiech dzieci. Dzięki temu wiem, że jest weekend. Wszystkie dni są takie same, odkąd jestem na zwolnieniu lekarskim. Na balkonie stoi białe plastikowe krzesło, kupiłam je, zanim coś wykryli. Nazwałam je Motyl, bo złożone wygląda jak odpoczywający motylek. To niedobrze – myślę – że imię przedmiotu pochodzi od kształtu, który przybiera, kiedy się go nie używa.

Dzisiaj pójdę na spacer. Zejdę na parter i z powrotem, to też coś. Mnie zabija beczyność – powiedział ostatniego dnia mój kolega z pracy. Mylił się, ale ja też. Dostałam od nich polskie czekoladki i francuską wodę kolońską. Myślałam, że nie wytrzymam tak długiej przerwy. A teraz właśnie od kilku godzin zastanawiam się, jaki mam smak w ustach. Od razu powiedzieli, że niektóre lekarstwa smakują jak skwarki – powiedzieli od razu prawie wszystko. Kiedy adiunkt pochwalił moje odczytanie, poczułam się tak, jakbym przypisywała sobie cudze zasługi. Śnił mi się następnego dnia. Zachowywałam się w tym śnie jak podłotek, ale było to całkiem przyjemne.

Biorę sweter z dwoma guzikami obleczonymi materiałem. Bawiłam się nimi, kiedy czekałam na wyniki. Już wiem, który klucz jest do którego zamka. Tylko piąty nie pasuje do żadnych drzwi, prawie jak w operze. Łapię się poręczy, nikt mnie nie widzi, nie muszę się popisywać. Osiem pięter. Prawie dreptam. Zatrzymuję się po pięciu piętrach i odpoczywam. Tutaj każde drzwi są inne: jedno zielone, drugie brązowe, trzecie pokryte okleiną imitującą drewno. W kilku miejscach zostało pod nią powietrze. A przecież komitet blokowy ustalił, że wszystkie drzwi mają być takie same. Na półpiętrze, między drugą a pierwszą kondygnacją muszę ominąć wózek dziecięcy przymocowany do balustrady. Przypięto go zabezpieczeniem do roweru. Nie znam jego właścicieli. Siedząc w domu, słyszę mnóstwo hałasów, ale idąc korytarzem, nie spotykam nikogo.

Ogrzewanie na parterze nadal jest włączone, skrzynka pocztowa ciepła jak zwykle. Napiisałam na niej nazwę części ciała z dodatkowym *h*, na napis nakleiłam przezroczystą taśmę klejącą. Rzadko są w niej listy, najczęściej powiadomienia od przewodniczącego komitetu blokowego. Były włamania. Wiatr znowu wwiął suche liście na klatkę. Teraz słychać nie tylko dźwięk maszyny do szycia, ale i szlifierki. Dla innych ludzi to zwykły kwietniowy dzień pracy. Za drzwiami z matową zbrojoną szybą pracuje słusarz. Po krótkim zastanowieniu wchodzi do środka. Mężczyzna dorabiający klucze ma na sobie fartuch w kolorze indygo, a pod nosem gęste, wzbudzające zaufanie wąsy. Nachyla się nad szlifierką, przez hałas nie zauważa, że weszłam. Zakład dorabiania kluczy ma dwa wejścia, drugie drzwi wychodzą na skąpaną w słońcu ulicę. Na chodniku stoją krawcowe. Przeszkadza mi, że zaglądają do środka. Też bym miała taki wzrok, gdybym tam stała w zielonym fartuchu i chodakach i paliła papierosa. W ruch idą obleczone materiałem guziki.

Kiedy słusarz mnie w końcu dostrzega, zatrzymuje maszynę i podnosi okulary na czoło. Zmarszczki na czole robią się duże, wyglądają jak kluski. Podaję mu pęk kluczy i na chybił trafił wskazuję jeden. Zdecydowanym tonem mówię, że potrzebuję dwóch

kopii. Podczas gdy mężczyzna pracuje, ja przelatuję wzrokiem po cenniku. Nagła decyzja kosztuje osiemset forintów. Jeszcze nigdy nie zrobiłam czegoś takiego. Gotowe. Podoba mi się, że zdmuchuje z kluczy pył, zanim położy je na ladę. Brązowe drobinki mienią się na jego paznokciach.

Termometr pokazuje 22 stopnie, niebo jest bezchmurne. Klatkę schodową znam już jak własną kieszeń. Nie chcę się poddać, ale nie mam też ochoty walczyć. Zawsze spodziewam się tak samo najgorszego, jak i najlepszego. Biegnę z powrotem po parasol, który dał mi ślusarz. Zaznaczył, że mi go pożycza, ale protestuje za każdym razem, kiedy chcę go oddać. Rozumiem, może nie chce, żebym czuła się zobowiązana. Rozmawiamy czasem, kiedy nie ma klientów. Ma dwa fartuchy w kolorze indygo, nosi je na zmianę. Kiedyś rozpoznał ten piąty, niepotrzebny kulcz. Dawniej otwierano się nim pomieszczenie na rowery – powiedział. Ma dobrą pamięć do kluczy. Jedna zagadka mniej. Opowiedziałam mu o windzie w nadziei, że wyjaśni też sprawę dziwnych dźwięków. Ale nawet on nie może wiedzieć wszystkiego. Przedstawiając się, odwróciłam taktownie wzrok. Niech podśmiechuje się z mojego nazwiska, jeśli ma ochotę. Uderzyłam aż dłonią w czoło, kiedy wyciągnął spod lady niebieski parasol – dlaczego mi to nie przyszło do głowy? Może nawet nie podejrzewa, z jakiego powodu mam tyle wolnego czasu. Zdradziłam tylko tyle, że muszę uнікаć słońca. Powiedziałam i nie powiedziałam.

Jeszcze ani razu nie odważyłam się dojść aż do placu zabaw. Zazwyczaj patrzę z balkonu, jak dzieci to przybywa, to ubywa. Przybywa, ubywa. Wyglądają jak ryby, tylko wydają dźwięki. Gdzieś tworzy się ognisko ławicy, potem nagle znika. Jakby ktoś wrzucił do wody okruszyny – zbierają się wokół nich, kosztują, potem uciekają na boki, bo okruszki okazują się zatrute. Ognisko tworzy się wolno, rozprasza szybko. Hałas przeszkadza mi bardziej, kiedy ich nie widzę. Przyglądając się im, opieram się jedynie o doniczki, nie otwieram krzesła-motyła. Z balkonu wszystko dobrze widać. Potem sama schodzę na plac zabaw, nie chcę się poddać. A jeśli się poddam, to nie chcę, żeby ktokolwiek to zauważył.

Temperatura skrzynki pocztowej w tym miesiącu nie przekracza już temperatury powietrza – w końcu przestali grać. Zanim wyciągnę list, patrzę przez szparę do środka. Nie lubię otwierać skrzynki i wkładać do niej ręki na próżno. Z jednej strony odsta-je blaszany element, który rani dłoń w ośmiu przypadkach na dziesięć. Taka błahostka potrafi zepsuć mi cały dzień. Zranienie się blaszką jest chyba gorsze od usłyszenia, że coś wykryli. Szara koperta. Zamiast na list, patrzę na swoje nazwisko na skrzynce pocztowej. Ktoś przekreślił h i na powrót zmieniło się w część ciała. Rozglądam się. Ślinię palec i próbuję zetrzeć ukośną kreskę. Nie da się. Ktoś z czarnym flamastrem w dłoni szuka czegoś, z czego można sobie zadrwić. Idę.

Dobry jest ten parasol. Kiedy się o niego opieram, jest laską. Kiedy go otwieram, jest parasolem przeciwstóncznym. Przed wyjściem na ulicę kiwam głową do ślusarza, zauważa mnie już nawet, kiedy pracuje szlifierka. Wyczuwa po prostu, że stoję przy ladzie. Albo przed drzwiami. Czasem mam wrażenie, że nie może się wydarzyć cokolwiek, ale najgorsze albo najlepsze – zawsze. Mogę sobie wyobrazić, że piszę do niego dwustronicowy list piórem albo że czarny flamaster należy do niego.

Przy placu zabaw są dwie wolne ławki i pięć zajętych. Leżą na nich przejściowe kurtki, siatki, kamizelki. Mój brat mnie zawsze poprawiał: wiesz, jaka to przejściowa kurtka, prawda? Śmiało się. Na kilku stosach ubrań leżą jaskrawe pudełka na drugie śniadanie. Zmieści się i okrągła butka, i trójkątny chleb tostowy – dokładnie taki, jak lubię. Siadam na ławce, na którą świeci słońce, mam przecież osłonę. Rozpinam rzepy. Naciskam przycisk na rączce parasola i impet, z jakim się otwiera, prawie podrywa mnie w powietrze. Muszę unikać słońca, a jednak tu siedzę, co za wydarzenie. Adiunkt byłby zdziwiony, gdyby się o tym dowiedział. Ślusarz podejmuje się też naprawy parasoli. Kiedyś powiedział, że ten niebieski parasol zostawił u niego klient. Minęło już ponad pół roku, a on ciągle się po niego nie zgłosił. Może umarł albo wyjechał – wyrwało mi się. Niech tylko nie pomyśli, że to aluzja. To nie w moim stylu. No więc ślusarz pożyczył mi ten parasol, ale nie chce go z powrotem. Już po jego gęstych, brązowych włosach widać było, że jest taktownym, delikatnym człowiekiem, takim, jakich mało – w końcu ja sama się do nich nie zaliczam. I nieważne jak dużo brązowego pyłu unosi się w warsztacie, fartuch w kolorze indygo jest zawsze czysty i wyprasowany. Zauważa mnie już nawet, kiedy zwalniam, idąc chodnikiem.

Przez chwilę przyglądam się wyposażeniu placu zabaw. Żółta taśma, którą zabezpieczono karuzelę, powiewa lekko na wietrze. Kilku krzeselkom brakuje siedzisk, może dlatego nie można jej używać. Kontury przedmiotów są ostre, tak jak wtedy, kiedy będąc nastolatką, dostałam okulary. Żółtą taśmę, faktura betonu na ścianie, wgłębienia na kołach plastikowej ciężarówki – wszystko prosi, abym go dotknęła, ugryzła. Oczywiście w przenośni. Wyciągam list. Już po kolorze koperty wiem, że to od przewodniczącego komitetu blokowego. Rozdzieram go palcami, jak zupę w proszku. Nie lubię już gotować. Będzie spotkanie. Z przyjemnym powątpiewaniem czytam punkty programu, jestem w końcu i mieszkańcem, i klientem. Jakkolwiek się potoczy ta historia, ja gdzieś należę. Odkąd pamiętam, przygotowywałam się równocześnie na dwie skrajne ewentualności. Będę jeszcze siedziała na krześle-motyłu bez parasola – to jedna. Na słońcu. Do korkowej tablicy nad skrzynkami przypina się ogłoszenia i klepsydry – to druga. Kiedy chodziłam do szkoły, mogłam oblać, ale mogłam być też najlepsza w klasie. Przygotowywałam się z godnością na obie alternatywy.

Papier listowy pod niebieskim parasolem ma interesujący kolor. W jednej ręce trzymam list, w drugiej parasol. W liście jest mowa o tym, czy trzeba zmienić nazwę komitetu blokowego. Przeszarżowane określenie – czytam. Zauważmy, że gdzie indziej nazywa się je już inaczej. Nie można także dłużej odkładać sprawy pomieszczenia na wózki dziecięce. Nie ma miejsca na ich przechowywanie, a coraz więcej jest rodzin z małymi dziećmi. No i w końcu kwestia pracownic zakładu krawieckiego, cały boży dzień stoją na chodniku i palą. Mieszkańcy pierwszego piętra wnieśli skargę, nie mogą otwierać okien. Jakby wszystkim naraz zepsuły się okna. Nikt nie widzi, że się uśmiecham. Te krawcowe, w tych swoich chodakach, z dymiącymi papierosami między palcami... Spytałam o zdanie ślusarza – pomyślałam. Od razu powiedział, że będą mnie cieszyły małe rzeczy. Nauczę się doceniać drobiazgi. Na przykład, że kiedy dzwonię do własnego mieszkania, domofon gra melodię *Wiosną wiatr wzburza wodę*.

Schodzę dwa razy w tygodniu. Schodami, nie używam windy. Teraz omijam wózki przypięte do barierki także na siódmym, czwartym i pierwszym piętrze. Raz prawie się przewróciłam. Na zewnątrz jest tak ciepło, że przyjemnie jest dotknąć chłodnej skrzynki pocztowej. Ślusarz przyniósł obcęgi i naprawił odstającą blaszkę. Powiedział, że istnieje takie tworzywo, na którym nie można nic napisać, ani długopisem, ani ołówkiem. Ktoś ciagle przekreśla jedną literę mojego nazwiska. Ślusarz powiedział, że nie odpowiada za siebie, jeśli złapie delikwenta. A więc to nie on jest sprawcą – albo bardzo dobrze gra.

Siadam na ławce, jest gorąca. Otwieram parasol. Matki milkną. Przechylam parasol, niech widzą, że ja też mam oczy. Zanim przyszlam, oglądały sobie nawzajem ubrania, rozmawiały na psychologiczne tematy. Niech szepczą, jestem poza tym. Zmuszam się do słuchania, o czym rozmawiają ich dzieci. Jeśli rozumiem, o co się kłóć, ich głosy nie przeszkadzają mi tak bardzo. Patrząc z tej perspektywy, nie przypominają już to wolno formującej się, to szybko rozpraszającej się ławicy ryb. Ale okruszyny nadal mogą być zatrute. Kiedy przebiegają przed moją ławką, stopami wzbijają piasek w powietrze.

Mam książkę, ale na placu zabaw nigdy nie czytam. Opieram łokieć na betonowym oparciu ławki, w ten sposób ręka z parasolem nie męczy się. Czytam listy od przewodniczącego komitetu blokowego, który oczywiście już się tak nie nazywa. Dziecko w białych skarpetkach pcha wózek wte i wewte. Ma świeżo obcięte włosy, fryzura wygląda jak dziecięca wersja strzyżenia dla dorosłych. Nie dorasta do obszytej impregnowaną nicią krawędzi mojego parasola. To przez ślusarza postrzegam za własne coś, co tylko pożyczyłam, i mówię „mój parasol” zamiast „parasol”. Dziecko w białych skarpetkach zwalnia, przechodząc obok mnie. Zagląda pod moją ostonę od słońca. Pewnego dnia zbierze się na odwagę i zapyta, wiem. Podejrzewam, która to jego matka. Chyba mieszkają na trzecim, rozpoznaję ten wózek. Ma pięć kółek, sprężyny i miejsce na zakupy. Pewnie kosztował fortunę. Wiem, o co spyta dziecko o fryzurze dorosłego i białych skarpetkach, kiedy nadejdzie ten dzień – dlaczego siedzę pod parasolem. I podejrzewam, że zaraz potem przybiegnie matka i z faksyjnym uśmiechem powtórzy to samo zdanie na dwa różne sposoby: proszę nie przeszkadzać pani. Chodź, nie przeszkadzaj pani. Przygotowałam się na cokolwiek, ale jednak nie na wszystko.

Ślusarz jest delikatnym człowiekiem. Sadza mnie na oparciu fotela i w ciszy zaspokaja zdecydowanymi ruchami, potem głaszcze po włosach. Wolę to niż adiunkta chwalcącego moje czytanie. Nadal nie mam pojęcia, czy wie, dlaczego siedzę cały czas w domu i mam tyle czasu. Rzadko mnie całuje, ale chętnie spytałabym go, czy czuje wtedy smak skwarków. Gładząc się po wąsie, mówi, że kogoś podejrzewa. Domyśla się, kto przekreśla fłamastrem literę *h*. Taktowny, nie zdradzi imienia, dopóki nie będzie pewny. Ja mu już oczywiście powiedziałam, co sądzę o matkach z placu zabaw. Spojrzał tylko, jakby się o mnie martwił. Zawstydziałam się.

Spędzamy razem godzinę, najwyżej dwie. Kawę słodzi jedną łyżeczką – na próżno częstuję go czymś innym, nic więcej nie chce. A mam też whisky, w szufladzie biurka nieodpakowane polskie czekoladki. Po jego ustach widać, że ma ostatnio dużo problemów. Próbuje się uśmiechnąć, udaje mu się to tylko jedną stroną. Podobno wszyscy uważają,

że zakład dorabiania kluczy nie jest nikomu potrzebny. Ja nic takiego nie słyszałam. Kto tak mówi? Wypowiadając te słowa, orientuję się, że przecież z nikim tu nie rozmawiam. Znam tylko starszego syna sklepikarza – daję mu pięćset forintów i proszę, żeby zaniósł mi dwie zgrzewki wody do windy. Starszy syn sklepikarza... – zaczynam, a on śmieje się uprzejmie. Dużo ludzi sympatyzuje z rodzinami z dzieckiem, mimo że sami nie mają dzieci. Musimy zostawić po sobie ślad. Chcą, żeby na miejscu jego zakładu zrobiono pomieszczenie na wózki. To dlatego usta ślusarza są tak wykrzywione ostatnimi czasy. Wyciąga formularz do głosowania. Napisali, że dzieci boją się dźwięku szlifierki. Ja boję się płaczu dzieci – żartuje. Mnie nawet nie spytali, obok mojego nazwiska widnieje dziesięciocentymetrowa seria kropek. Tu powinnam napisać swoją opinię. Nigdy nie wychodzimy razem na balkon.

W dniu, w którym idę na wizytę kontrolną, spryskuję się koło uszu francuską wodą kolońską. Na klatce schodowej celowo się nie rozglądam. Gdybym zobaczyła pomazaną skrzynkę pocztową, instynktownie wzięłabym to za zły znak. Gdyby *h* nie było przekreślone – za dobry. Tego też nie chcę. Krawcowe już pracują. Upomnienie najwyraźniej podziało, nikogo nie ma na chodniku. Patrzę w górę, na okna na pierwszym piętrze – zamknięte. A przecież nikt nie pali. Nie zaglądam do zakładu dorabiania kluczy. Wiem, że nieważne, co ślusarz robi, i tak mnie zauważy. Już po moim ubiorze widać, że idę coś załatwić. Mam ze sobą niebieski parasol – przyda się jako oparcie, jeśli w autobusie nie będzie miejsc siedzących. Matki z placu zabaw nie rozpoznają mnie w słomkowym kapeluszu i z zamkniętym parasolem. Nawet jeśli mnie zobaczą, to nie zwrócą na mnie uwagi, tak to jest. Przytapiuję się na oszustwie. Denerwuję się, jakby wyniki zależały od tego, jak zagram tę dzisiejszą rolę. Przygotowałam się na cokolwiek, ale nie na wszystko. Jednak nie jest mi obojętne, czy muszę unikać słońca, czy nie. Wsiadam do autobusu. Są miejsca siedzące.

Ślusarz zna się na dzieciach. Nie wczuwa się przesadnie w swoją postać. Chłopiec przestępuje z nogi na nogę. Nie ma odwagi spojrzeć na ślusarza, boję się, że za chwilę się rozplacze. W tym roku poszedł do szkoły. Na pewno cieszył się, kiedy pięciosylabowe, niemieckie nazwisko zniknęło ze skrzynki. Ukradł rodzicom flamaster i przekreślił *h*. W końcu jakieś znajome słowo pośród tych wszystkich Panyadelnyków i Vilcherrów. Mieszka na piątym piętrze. Ślusarz patrzy na chłopca z okularami nasuniętymi na czoło. Kiedy się nachyla, jego fartuch w kolorze indygo uwypukla się na plecach na kształt dziubka. Nie mamy pojęcia, jak ukarać dziecko, które nie jest nawet arogancie. Daj ten flamaster – mówi. Chłopiec podaje pisak. Potem już zupełnie nie wiemy, co robić. Mija dziesięć minut, może więcej. Chłopczyk wpatruje się w podłogę z linoleum pokrytą tłustymi plamami. Pochodzą z czasów, kiedy było tu pomieszczenie na rowery. Bawię się guzikami od swetra, najchętniej powiedziałabym ślusarzowi, żebyśmy dali sobie z tym spokój. To w końcu nic wielkiego. Nie znam jego imienia. Ślusarzu, dajmy sobie spokój – tak nie mogę powiedzieć. Myślę, że byłby dobrym ojcem.

Sytuację rozwiązują otwierające się drzwi wejściowe. To jedna z krawcowych. Z kieszeni zielonego fartucha wyciąga bez słowa klucz i kładzie na ladę. Palcami pokazuje,

że prosi dwie kopie. Niemi wyrażają uprzejmość, mrugając wolniej niż zazwyczaj. Ślusarz zsuwa okulary na nos i odprawia chłopca. Żebym cię więcej nie widział – krzyczy za nim. Włacza szlifierkę.

Krawcowa opiera się o ladę. Zsuwa jednego chodaka i gołą stopą pociera łydkę. Nie wiem, czy jest głucha. Może nie wie, że słyhać, jak szorstką ma nogę. Czekam, aż ślusarz zdmuchnie pył z klucza, i wychodzę.

Idę spacerem na plac zabaw. Moja ławka jest zajęta, siadam więc bliżej piaskownicy. Mam więcej siły, parasol nie podrywa mnie już do góry, kiedy go otwieram. Zlikwidowali karuzelę. Piaskownica ma teraz kształt jeża, co z góry wygląda jak ławica ryb dookoła jeża, z dołu jest grupą dzieci w piaskownicy. Matki żatują, że kończy się lato. Ich zdania są zbyt długie. Teraz już trują otwarcie. Krawędź mojego parasola pruje się. Dziewczynka ma teraz czerwone skarpetki zamiast białych. Czuję, że dziś zada mi to pytanie. Jestem do jej dyspozycji – ale do tego czasu zajmę się listami od przewodniczącego komitetu. Blok nie przedłuży ślusarzowi umowy najmu – czytam. Jego warsztat zostanie przeznaczony na pomieszczenie na wózki. A więc miał rację. Patrzę na papier: jego imię i nazwisko. Nie ma co, dziwnie wygląda taka lista nazwisk. Jakby wymieszało się piasek, kamyki i ryż. Gdybyśmy teraz wszyscy wcisnęli się razem do windy, stosunki bardzo by się napięły. Padlibyśmy sobie w ramiona lub rzucilibyśmy się na siebie jak dzikie bestie. To znaczy, padlibyśmy sobie w ramiona jak dzikie bestie.

Myliłam się. Dziewczynka w czerwonych skarpetkach dziś też nie zadaje mi tego pytania. Bawi się tylko, zasypując ciężarówkę piaskiem. Jej matka biegnie w stronę mojej ławki. Nachyla się nad samochodem, któremu wypadło jedno kółko. Jej stylizowane na stare oprawki okularów na pewno dużo kosztowały. Prostując się, prosi, żebym tu więcej nie przychodziła. To plac zabaw – wzdycha. Potem schyla się po foremkę w kształcie liścia, jakby porządek był ważniejszy od tego, co powiedziała. Jeśli wypełni się foremkę mokrym piaskiem i zdecydowanym ruchem położy się ją do góry dnem na asfalcie, to wyspany piasek będzie miał kształt liścia. Niewiele jest dzieci zdolnych do wykonania takiego zdecydowanego ruchu. Tego, co powiedziała, nie da się wysypać: pozostanie w tej matce, nieważne jak wiele razy to powtórzy. Wstępnie tylko z dzieckiem. Bez dziecka wstęp wzbroniony. I pokazuje na tablicę. Znowu i znowu. Tak, jest tablica, do tej pory jej nie zauważyłam. Zamykam parasol i wstaję. Skąd wiedziałam, że taka matka powtarza wszystko, tylko na dwa różne sposoby? Wybieram schody, nie windę. Drzwi mieszkania tej rodziny pokrywa okleina. Przechodząc obok, naciskam jeden z pęcherzy powietrza. Zaczynam poznawać mieszkańców, mimo że winda rzadko się psuje.

Pada. Lufcik matowego okna zakładu krawieckiego jest otwarty. Wystają z niego trzy dłonie z papierosami. Nie widać twarzy ani ust. Domofon znów gra melodię *Dla Elizy*, nie *Wiosną wiatr wzburza wodę...* Na ten temat też było głosowanie. Wiem, że rodzina mieszkająca za drzwiami z okleiną chciała *Badinerię*, ślusarz mi powiedział. Muszę się pośpieszyć, żeby drzwi nie przytrzasnęły mi nogi – hydrauliczny mechanizm odmówił posłuszeństwa. Ktoś zamykał na siłę. Wiatr wwiewa do środka liście, jeśli drzwi otworzą się zbyt szeroko i nie mogą się zamknąć. Ile złości, ile radości. Od kilku dni nie słyhać

szlifierki, na drzwiach wisi kłódka. Ślusarz szuka nowego miejsca. Pozwolił mi przynieść sobie gazety z ogłoszeniami. Dwie ulice dalej znaleźliśmy kilka lokali do wynajęcia. Kiedy kończyłam czytać ogłoszenia z jednej strony, pytałam, czy mogę przewrócić na następną. Ślusarz mieszka w dzielnicy Pesterzsébet, ale upiera się przy tym osiedlu. Mieszka tu tylu ludzi, ilu w starożytnym Avrium. Wstaje o świcie, żeby dotrzeć na czas i wraca do domu dopiero o ósmej. Spytałam, dlaczego nie otwiera później, skoro nie ma szefa. Powiedział, że nie można. Trzeba pracować. Jeśli zagląda do mnie, to wraca do domu jeszcze później. Nigdy nie zostaje na długo, a ja nie mam odwagi poprosić go o to wprost. Może ma dzieci i żonę – pasowałoby to do jego nazwiska.

Na kopercie nie ma nadawcy, stąd wiem, kto ją przysłał. Otwieram ją dopiero w domu. Biorę nożyczki i rozcinam biały prostokąt z krótszego boku. Jeszcze nigdy nie otworzyłam listu w ten sposób. Na samym dole nazwisko adiunkta. Umieję czytać tak, że słowa się zlewają, ale rozumiem całe zdanie. Nie cieszę się. W końcu przygotowywałam się na to – na to też. Ślusarz wyprowadza się z bloku, z warsztatu dwie ulice dalej. Już nigdy do mnie nie przyjdzie. I to jest teraz ważniejsze od tego, czy nie muszę unikać słońca, jeśli nie chcę. I jeśli słońce też nie chce, bo niebo już od tygodnia ma kolor mojego parapetu.

Otwieram szufladę biurka i wyciągam polską bombonierkę. Rozgryzam na pół jedną z czekoladek. Wykryli coś akurat wtedy, kiedy miałam już dość wszystkiego. Wszystkiego, ale nie całym. Wszystkim tak mówiłam, żeby nie zadawali więcej pytań. Ślusarz był jedynym, którego nie trzeba było zbywać. Dyskretny człowiek, nie zdradził nawet chłopca od flamastra. Opowiadając mu o moim bracie, wymyśliłam kilka historii. To jest dom, z mieszkańcami, z matkami. Każda kurtka jest przejściowa. W środku czekoladki jest śliwka w rumie. Przykleja mi się do zęba.

Wychodzę na balkon. Przesuwam zgrzewki z wodą, otwieram biały leżak. Dziesięć minut minęło, zanim udało mi się oddzielić oparcie od siedzenia. Mogłabym go przysunąć do ściany, ale nie obchodzi mnie deszcz. Siadam, opieram stopy na pustej doniczce. Na placu jest teraz cicho, na łańcuchach huśtawki błyszczą krople wody. Odchyłam głowę do tyłu, z zamkniętymi oczami patrzę w niebo. Nie chcę czekać na ślusarza, a jednak czekam. Należę mu whisky do kawy, jeśli wpadnie. Jeszcze ani razu nie udało mi się dotrzeć na targ kwiatowy – mógłby mnie odprowadzić. Czuję radość – krzesło jest wygodne. Dobrze trzyma plecy.



Eklibris barona de Warenghiena, autor nieznan, miedzioryt, XIX w.; zbiory Biblioteki Polskiej w Paryżu, foto. Arkadiusz Wagner